Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 49. Poznań dnia 4. Marca. **1839.**

Literatura zagraniczna.

Podroże i wyprawy wojenne księcia Maxymiliana Wirtembergskiego w Polsce, w Litwie, na Rusi i na Ukrainie.

(Dalszy ciąg.)

Ten rok 1703 zakończył się dla wojska szwedzkiego wzięciem Elbląga. To miasto już nie śmiało oprzeć się Karolowi, i przyjęło szwedzką załogę: król do niego wjeżdżając, kazał sobie przygotować to samo mieszkanie, które zajmował w ostatniéj wojnie szwedzkiéj, sławny jego poprzednik Karól Gustaw. Miasto Elbląg, jako dobrze budowane i bogate, wabiło wszystkich wojskowych, którzy sobie wygodne w niem obiecywali leże. Ale właśnie dla téj przyczyny, król nienawidzący wygód, kwaterę swoję zimową gdzieindziéj przeniósł. Obrał ją sobie w Heilsbergu, w pałacu biskupa, który osobą swoją schronił się był do Królewca. Przez te kilka miesięcy zimowych, które król z całym dworem przebywał w Heilsbergu, starał się nasz książę czasu swego użyć jak najlepiéj. Rozkład zatrudnień jego był następujący: O siódméj rano ubierał się i modlitwy swoje codzienne odprawiał, potem udawał się do króla, i tam znowu assystował publicznemu nabożeństwu, które dwa razy na dzień, z rana i o 4téj po południu, w królewskich pokojach się odbywało, i przy którem król i wszyscy przytomni klęcząc, modlitwy odmawiali. Po odprawionem rannem nabożeństwie, był na śniadaniu u króla, które to śniadanie składało się z piwa grzanego i z pieczeni. Po śniadaniu jeśli król nie wyjeżdżał konno, albo, co się najczęściéj zdarzało, jeśli się do kancellaryi swojéj nie udawał, natenczas młody książę wracał do swego pokoju, i czytał dzieje szwedzkie, duńskie lub niemieckie, albo też uczył się z rozmaitych książek sztuki fortyfikacyi, albo też chodził do ujeżdżalni. Po obiedzie wprawiał się do strzelania, lub polował, lub też wizyty oddawał wyższym officerom królewskim, niezapominając jednak stawić się o czwartéj w wieczor na owo nabożeństwo u króla. Taki był zwyczajny tryb jego życia, chyba, że jakieś nieprzewidziane zdarzenie, odmianę w nim zrządziło. Ze zbliżeniem się wiosny już częściéj król wyjeżdżał na przegląd rozłożonych po leżach zimowych pułków i wtenczas mu książę towarzyszył.

(Tu następują szczegóły o detronizacyi Augusta w Warszawie, o uwięzieniu książąt Sobieskich w Saxonii i t. d., które, jako już opisane w innych dziełach, opuszczamy.)

Podczas bytności króla szwedzkiego w Heilsbergu, przybył do niego po raz pierwszy starosta Odolanowski, Stanisław Leszczyński, jako posłaniec konfederacyi Wielkopolskiéj. Ten pan, który w krótce potem tak ważną grał rolę, miał wtenczas lat 26, był miernego wzrostu, rozumu bystrego, i rozmowy przyjemnéj, wyraz jego twarzy słodki i uprzejmy, daleki od téj napuszystéj dumy, która w ogólności polskim magnatom jest właściwa. Był on miłośnikiem nauk i polowania, wiele podróżował, mówi prócz swoim rodowitym, różnemi jeszcze językami, to jest: gładko po łacinie i po francuzku i trochę po niemiecku. Wreszcie wolny od wszelkiéj ambicyi; bo i tego berła, które mu się później dostało, można powiedzieć, że nie zażądał, i z niejakim nawet wstrętem je przyjął. Dom Leszczyńskich jest jednym z najdawniejszych w Polsce, i już jeden z téj rodziny roku 1473 od Cesarza Fryderyka III. na hrabstwo został wyniesiony, dla tego też od obcych Stanisław Leszczyński zawsze był hrabią tytułowany. Widząc nasz książę nadzwyczajny szacunek króla dla Leszczyńskiego, starał się zbliżyć do niego, i mocno się z sobą zaprzyjaźnili.

21go Czerwca roku 1704 opuścił król szwedzki miasto Heilsberg, i dla skrócenia drogi skierował pochód swój przez Prussy Brandenburgskie, które jednak, przez wzgląd na kraj neutralny, jak najspieszniéj przebyć rozkazał; poczem stanął z wojskiem swojem w polskiem mieście Prasnysz. Dość ono jest obszerne, ale jak zwykle polskie miasta całe z drzewa. Z tamtąd udał się król na Ciechanów i Nowemiasto, przeprawił się

poniżéj Warszawy na lewy brzeg Wisły i rozkwaterował się pod Błoniem, o kilka mil od polskiéj stolicy, gdzie elekcya nowego króla miała nastąpić.

(Tu opuszczamy znajome z innych dzieł szczegóły elekcyi Stanisława Leszczyńskiego).

16go Sierpnia po dokonaniu elekcyi króla Stanisława towarzyszył nasz książę królowi szwedzkiemu w pochodzie ku Rusi czerwonéj. Poszli zatem na Radom, przeprawili się przez Wisłę pod Sandomierzem i przybyli do Jarosławia. To miasto sławne jest jarmarkami, które się tam co rok odbywają, i na które mnóstwo towarów wschodnich, z Persyi, Turecczyzny i Moskwy przybywa, tudzież innemi drogami z Wenecyi i Amsterdamu, prócz tego, niezliczona liczba koni i bydła. Dla tego też tu najpyszniejszych nabyć można rzędów tureckich, lub kobierców, i wina węgierskiego w najprzedniejszym gatunku. Ale to ostatnie tak jest drogie, że jeden z panów szwedzkich zapłacić musiał za gąsior trzymający osiem kwart trzydzieści talarów holenderskich.

1go Września ruszył król z Jarosławia do Lwowa, wziąwszy z sobą piętnaście pułków. Dla prędkiego atoli pochodu większą część po drodze pozostawiał, i we trzy tylko pułki dragonów stanął pod Lwowem, i natychmiast szturm przedsięwziął. Mury tego miasta były po staropolsku tylko z drzewa, i siekierami można było wyłomy w nich porobić. Król i książę sami byli między szturmującymi. Wleźli zatem na mur, król jednak pierwéj jak książę, bo ten cierpiąc na nogę po kilka razy był się potknął. W krótce wtłoczyli się Szwedzi do miasta i wszystko się poddało. Po usadowieniu się Szwedów we Lwowie, przybył do niego nazajutrz król Stanisław jadący z Warszawy, z nie miłą wiadomością, że król August to miasto opanował. Wymusił zatem na prędce król szwedzki kontrybucyą na Lwowianach, (z któréj jeszcze na prozbę króla Stanisława połowę mieszkańcom darowano) i udał się wraz z sprzymierzeńcem swoim na Zamość i Węgrów ku Warszawie.

Zdawało się niejaki czas, jakoby król August bronić chciał miasta Warszawy i brzegów Wisły przeciw Szwedom. Albowiem w wielu miejscach okopy, wzdłuż rzeki posypał, a między innemi wyspę jednę wśród Wisły, o cztery mile powyżéj Warszawy w okolicach Karczewa wojskiem osadził. Ale ta wyspa wkrótce od Szwedów została zdobytą. Trafiło się tam jednego dnia, że wszyscy trzéj królowie, Karól, Stanisław i August, tak blizko się zeszli, że mówić z sobą mogli. Karól z Stanisławem i księciem Wirtembergskim właśnie byli na wyspie, August zaś z towarzyszącym mu szambelanem Viezthum byli na lewym brzegu Wisły. Szambelan zawołał na Szwedów: »Mości panowie! czy nie raczycie przyjść do nas?« — Karól mu w głos odpowiedział: »My nie jesteśmy tak złośliwi.« — Daléj wołał Viezthum: »Czy nie masz tam waszego króla?« — Na to paź króla szwedzkiego odpowiedział, wskazując na niego: »O to jest!« — Pytał daléj Viezthum o niektórych jemu znajomych na dworze szwedzkim i odpowiedziano mu grzecznie na każde zapytanie. Nakoniec rzekł Viezthum: »*Messieurs nous Vous attendrons ici.*« — Paź na to odpowiedział, z zapytaniem: »*Parole d'honneur?*« — Wtenczas August sam się odezwał, wołając głośno: »*Parole de maitre!*« potem salutował kapeluszem i dodał: »*Adieu Messieurs.*«

(Tu następują znajome szczegóły zdobycia nazad Warszawy, przez Szwedów, i pogoń Karóla za Augustem i Szulemburgiem.)

W Grudniu 1704 rozłożył się król szwedzki na leże zimowe w Rawiczu, nad granicą Szląską. To miasto jest daleko porządniejsze od większéj części innych miast polskich. Regularny ma skład rynku i przytykających ulic, domy porządne, wał z ziemi otacza miasto do koła, a mieszkańce niemieckim wyłącznie mówią językiem; co wreszcie zastósować też można do piętnastu mil kraju, ciągnącego się wzdłuż granic Szląskich.

Podczas tych leż zimowych, odwiedzał nasz książę okoliczne miejsca i pałace. Był między innemi u króla Stanisława w jego zamku w Rydzynie. Zamek ten położony jest w wielkiéj rownin̈ie, przy wsi tegoż nazwiska, i niedaleko lasu, w którym oba, to jest król polski i książę, często polowali. Przez ten las przerznięta została na rozkaz króla Stanisława szeroka linia, aby z okien zamku Rydzyny miał otwarty widok aż do miasta Leszna, równie do jego dziedzictw należącego. Od tego to miasta imie nosi rodzina Leszczyńskich. Wspomniony zamek Rydzyny, byłby może jeden z najpiękniejszych w Polsce i w Europie, gdyby przed dokończeniem wewnętrznych jego ozdób nie był zupełnie zniszczony przez wojsko saskie. Między innemi pięknemi pokojami był tam jeden cały lakierowany, który tak uderzał pięknością, że jenerał saski, który wyraźny miał rozkaz zniszczenia zamku, szanował te część gmachu, albowiem zdawało mu się, że nie łatwo jakikolwiek artysta taką rzecz, bądź wyreperować, bądź naśladować potrafi. Inny apartament był cały ze szkła i zwierciadeł, inny jeszcze z mozaiki.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Literatura krajowa.

Poezya.

Ideały.

Lube, senne omamienia
Méj młodości ideały,
Gdy w około mnie latały
Jako mary, jako cienia;

Ja w pośrodku nich jak słońce,
Przyciągałem siłą własną,
Oświecałem twarzą jasną
Te komety szalejące.

Każdy z nich był dotąd we śnie,
Jam je zbudził i poruszył,
Jam ciężące więzy skruszył
Mocą ducha — lecz zawcześnie.

Bo drzymiące, niewyspane
Przerywały często tańce,
Albo sercu mojéj niańce
Plotły baśnie dawno znane.

A jam wierzył dobroduszny:
Jakem ufał, że me chęci
Bóg zapisze dla pamięci,
Jako prośby w dzień zaduszny.

On je przyjął jak od dziecka,
Litościwém spojrzał okiem,
I owionął mię obłokiem,
W którym skryta moc zdradziecka.

Bo gdym rzucił wzrok do koła,
To już wszystkie te przedmioty,
Co mi lśniły blaskiem cnoty,
Co miały dobroć anioła;

Dziś w odmiennéj są sukience,
Każde oko zyzem strzela,
Kwiaty, to zatrute ziela
Uplecione z ostem w wieńce.

W każdych ustach tkwiła strzała,
W jad obłudy umaczana,
Z każdéj duszy już wywiana,
Cnota szybko uciekała.

A jam smutno przypominał
Zbiegłe chwile téj ułudy;
Chciałem nowe stwarzać cudy,
Nowém życiem żyć zaczynał.

Miasto serca — kamień zimny
Pozostał mi; znikło czucie,
Co w harmonii piało nucie
Miłości, przyjaźni hymny.

Lecz jak często skała twarda
Dijamenty kryje w sobie,
I jak często się na grobie
Dźwięcznie stroi lutnia barda;

Tak w mych piersiach dawnych marzeń,
Smutnych wspomnień ogień zgasły,
Nowémi się wskrzesza hasły,
Zbudzonémi torem zdarzeń.

A wrażenia, co się tworzą
W walkach serca osobistych:
To jak pasma chmurek mglistych,
Co unoszą się przed zorzą.

Lecz te chmurki w blasku zgasną,
Gdy się słońce rozpłomieni,
I milionem swych promieni
Rzeczywistość stworzy jasną.

A. Sz. 1836.

Kirdżali.

*Przez J. N. S.**)

Doszła nas niedawno świeża powieść Michała Czajkowskiego. Dziarska to powieść, jak rumak; czasem dzika, jak wicher stepowy, a wszędzie jednak Myśli powolna, jak ów pielgrzym-wojak, co myślą i sercem dy-

---

*) Życzyłbym sobie, aby ortografia moja co do pisania głosek wielkich wszędzie zachowaną była. Użycie tych głosek, gdzie nie są na początku zdania pisane, albo gdy imiona własne znamionują, przywięzuję do Znaczenia, do wartości wyrazów. Zwykle znaczenie każdego wyrazu samo przez się jest obojętném, Prawdziwéj Wagi dopiero przez związek, w jakim stoi nabiera. Każdy zaś wyraz Wielkiéj wagi wielką głoską pisać, jest w Duchu prawdziwéj ortografii wszelkiéj Mowy. Tu właśnie mnogie różnice zachodzą. Jak Duch każdego Narodu ma swój osobny charakter, tak i język. Każdy też język ma pewną właściwość w używaniu wielkich liter. Z nowszych języków niemiecki i francuzki wyraźne z sobą w téj mierze przeciwieństwo wiodą. Trzeba pewnéj powolności, pewnéj flegmy, żeby każdą rzecz, bez względu na jéj Wartość, bez różnicy czy Duchowa czy zmysłowa, miętosić i nazwie jéj wielką wagę nadawać. Powolny Niemiec nad każdą rzeczą pół wieku dłubie, w każdéj jakąś wiekotrwałą stronę upatruje. Dla tego mu też część mowy do oznaki rzeczy służąca, główną się być zdaje i Hauptwortem ją nazywa. Cały szereg tych swoich Hauptwortów wielką literą stoperczy. To liberja pedantyzmu. Przeciwnie lekki, trzpiotowaty Francuz nad niczém długo się zabawiać nie lubi, po wszystkiem gładko się ssuwa, wszystko chce mieć lekkiém, ruchomém, żadnego też wyrazu wielką głoską nie obciąża, wszystkim czubki zmiata. To znów zniżenie kształtu mowy piśmiennéj, znaku Ducha ludzkiego do gładkości salonowéj posadzki. W mowie polskiéj łączą się te dwie strony. Używanie wielkich głosek różném w różnych czasach było, a zawsze wiek swój charakteryzowało. Tu zaraz tchnienie swobodniejszego życia nas obwiewa, niż na germańskiéj ziemi, a nie znachodziemy zbytniéj lekkości dalszego zachodu. Pisanie wielkich liter w ortografii polskiéj ma swój organiczny postęp, ma swoję historją:

W staréj Rzeczypospolitéj polskiéj pisała się wielką głoską najprzód Rzeczpospolita Sama, zaraz potém Szlachta, Klejnot, Herb — tuż za niemi Król (ale ten nie zawsze, tylko w Urzędowych Aktach, gdzie na czele Woli Narodowéj stawał jako Primus inter Pares), daléj Prymas, potém Senat, Sejm, Wojewoda i t. d. aż do Burmistrza i Rajców; dopiero od mieszczan po żydach do chłopstwa małą głoską się zjeżdżało. Oprócz tego, co tylko jeszcze było ciupurnego

szy do boju, a jednak Bogu się korzy. Rysy jéj ostrzem spisy wdzierają się w duszę czytelnika, a jednak jéj nie ranią, tylko w niéj jakieś pragnienie dziwnych przygód, jakąś chęć gwałtownego pomszczenia się, a zarazem szlachetną żądzę nieograniczonego Poświęcenia się budzą. Jéj tytuł: Kirdżali, — jéj sceną: nadbrzeża Sławiańskiéj rzeki — starego, ciemnosinego Dunaju.

Przelećmy okiem powierzchnią téj ziemi: jéj kształty wcisną się w pamięć naszę, a nim autor na jawie dziwnych ludzi nam ukaże, już one w duszy naszéj snem o nich zamajaczą:

Dolna część tych okolic otworzystem błoniem po nad Dunajem ku morzu się posuwa, jakoby rozpaczą pchana równo z pędem rzeki w przepaściach jego zanurzyć się chciała. Tylna niby się przestraszy szalonem przedsięwzięciem przodownicy, cofa kroku, w bok odskakuje, pasmem gór się piątrzy, to szumem rzeki po skałach coś o płochości siostry zamarudzi, to zadumą ciemnego boru ku niéj się posunie, to w nadziei jéj upamiętania rozstąpi się ciasnym wąwozem, niby jéj odwrót chce zapewnić, a wszędzie albo mnogiemi strzępami się sroży, albo krągławym kształtem się smuci. Weselsze strony może burza tylko nam zasłania.

Jaka ziemia, taki Duch mieszkańców.

Kraina pędu musi być kolebką namiętności, ziemia ostrych przeciwieństw musi raz po raz burzą walki zakipić, okwita w dziwy przyrody i dziwami zdarzeń czarować powinna.

Jéj przestrzeń zalana rojem niepoliczonych ludów, różnych sercem i myślą, i plemieniem i wiarą, i barwą stroju i broni rodzajem. Ich dusze? — to burza przeciwieństw, wyniosłości i poniżenia, dumy i pokory, szlachetnych uczuć i brzydkiéj podłości, twardéj woli i przemienności, stalistego hartu i gnuśnéj zniewieściałości, ducha służalstwa i Ducha Wolności.

Bohater powieści jakby uosobieniem całéj siły téj burzy. Jego dusza drażliwa, płomienna, żarem ognia kocha i nienawidzi, jednym migiem od pragnienia szlachetnego czynu do gwałtownéj żądzy zbrodni się przerzuca. Kiedy się iskra Wiary w nim obudzi, kiedy Bóg głosem Wolności w głębi serca jego przemówi, to w uniesieniu chciałby Wolność rozlać na wszystkie ludy sławiańskie, jednym zamachem zmieść głowy wszystkich muzułmanów, w zażartym boju krwią swoją okupić Świętość Wiary chrześciańskiéj, — ale kiedy zwierzę głosem dumy w nim ryknie, to by się rad wyniósł nad wszystko, wszystko zniszczył do szczętu, gotów w dzikiéj burzy téj namiętności cały Ród ludzki zbić w jednę warstwę z ziemią po któréj depce. Kiedy anioł miłości brylantem swéj boskiéj przyrody mu zaświeci, kiedy jéj rajski powiew skronie mu owionie i siłą Cudu do serca się wkradnie, to dusza jego gotowa łzą się rozpłynąć. Wtenczas zdolen wszystko poświęcić — samę nawet trwałość tego szczęścia, gotów na skinienie kochanki wrócić ją strapionemu ojcu, i, by jéj dogodzić, głowę swą z rozkoszą oddać pod miecz rozjuszonego baszy; ale też najmniejszy połysk podobieństwa tylko, że mu się przeniewierzyć mogła, najmniejszy cień podejrzenia, może tylko obcym błędem rzucony, zaraz wirem waru w żyłach mu zakipi, żarzewiem piekła pali mu wnętrzności, aż się rozsierdzi dusza i żywym ogniem buchnie.

Taka dusza ognista, równie blizka nieba, jak piekła, igrzyskiem losu rzucona w zamęt walki Islamu i Chrześciaństwa, tureckiego despotyzmu i niezatartéj Wolności naddunajskich Sławian, z jednéj ostateczności w drugą się przedzierżga, i, jak echo w ostępie skał, ciągle krąży

---

w Koronie i Litwie, wszystko to w listach i kontraktach przy własnoręcznym podpisie i wyciśnięciu Rodowitéj Pieczęci, wielką głoską się puszyło i w licznych Konnexjach i Wpływach z sobą się zbiegało.

Z napływem francuzkiego gustu do Polski niknąć zaczęły wszystkie wielkie głoski razem z kontuszami, i nastrzępione dawniéj wiersze ksiąg polskich gładszego nieco kształtu nabrały, aż za przybyciem Samego Najjaśniejszego Cesarza żadna wyższa główka się już nie ukazała i wszystko pokosem się usłało.

Otrząsa się dziś naród z cudzoziemczyzny, niech się też i ortografia z jéj krojów otrząśnie. Daléj więc napowrót do wielkich głosek! Ale niechaj sam sposób ich używania da poznać, żeśmy nie na próżno Wiek cały przeżyli. Inny wiek, inne też przedmioty Poszanowania. Dziś już nie szlachta, ale Naród, nie klejnot ale Zdolność, nie herb ale Kosa, nie tytuł ale Zasługa, nie affekt kawalera, ale Miłość ojczyzny, nie dawność rodu, ale Przyszłość powołania wielką literą pisać się powinny. Gdyby przywilej wielkiéj głoski jakiéj części mowy wyłącznie mógł służyć, toby nią dziś musiało być Słowo, — jako wyraz zmiany przez czasy, wyraz Czynu, albo stanu wynikłego z poprzedniego umysłowego działania, przeto z Myśli i Woli człowieka. Toby był nasz Hauptwort, nie zaś rzeczownik, oznaka rzeczy martwéj, jak kamień bez ruchu leżącéj. Ale i to ograniczenie byłoby za wielkiém. Ustał już czas przywilejów, i w ortografii cierpić go nie można. Duch we wszystkich częściach mowy objawić się mocen, na którą stronę zbiegiem Myśli się przeważy, tam go chwytać i wielką głoską piętnować trzeba. Powstanie ztąd pewna wyrazistość pisma. Gdzie sens przyduszony, tam czasem forma wiele znaczy i do Domyślności czytelnika nieraz silnie przemówi. Jeźli więc wyraz jaki przez splot Myśli pewnéj Wartości dla mnie nabierze, piszę go wielką litera, bez najmniejszego względu na część mowy, do któréj należy. Ja chcę go mieć reprezentantem méj Myśli, cóż mnie tam zresztą do jego familii?

Dodać tu muszę, że na takowe używanie wielkich głosek naprowadziły mnie ślady jego w Mickiewiczu, Krasińskim i innych z nowszych pisarzy. W Mickiewiczu maluje się wtém poszanowanie rzeczy starych Narodu — w autorze Nieboskiéj Komedji i Irydjona głębsza już rozwaga przebija. Trzeba rzecz poczętą podnieść do Myśli i upowszechnić. Tak się odbywa każde przeobrażenie w świecie Duchowym. Każda rzecz z razu jest nowacją, potém zwyczajem, nareszcie starym gratem, który innym rzeczom miejsca swego ustąpić musi. *Przyp. autora artykułu.*

w zaczarowanem kole przeciwieństw. To rycerza Wolności zagrzewa, to się w słudze azyatyckiego despotyzmu szamoce, to w zbójcy szaleje, to w pokutniku przed Bogiem się korzy, a zawsze ją jakaś sprzeczność łagodzi albo drażni, bo rycerza Wolności pożera jadowita zazdrość, agę baszy Izmajłowa do służalstwa przykuła Miłość anioła, serce zbójcy brzydzi się zbrodnią, a pokutnik tęskni za bojem.

Obie strony Islamu i Chrześciaństwa zamożne w mnogie, z wielu miar interessujące charaktery, — a nad wszystkie wynoszą się dwa szczególnie, nie tak dzielnością i burzą, albo Anielską pięknością, jako raczéj Myślą wpływającą na pojęcie ogółu, — a Myślą potężną, bo Fataliczną. Jest to Achmet i Eudoxya. Achmet wszystko, co się tylko wydarzy, i śmierć synów i przyjaciela troski po utracie córki i klęski Islamu uświęca reflexyą, że się tak stać musiało, bo było Przeznaczone. Jest to Fatum muhametańskie. Jedno w sobie jak Allach, — niewzruszone — bez Postępu, przeto też bez Nadziei na Przyszłość i bez chęci odgadywania onéj.

Stromości muhametańskiego, przeszłość tylko piętnującego fatum, sprzeciwia się Duch chrześciańskiego Przeznaczenia, Duch Postępu z Wiedzy albo Przeczucia, Duch ku Przyszłości zwrócony, wyrażony w powieści wiarą Eudoxyi w przepowiednią Iwoniego: ze »krew lacka zbawi wolność dacką.«

Obie Myśli sprzeczne sobie, a jednostronne. Rzeczą poezyi jednostronność ich wykazać. Środkiem do takiego wykazania nie może być rozumowanie wśród opowiadania, ale pewna Systematyczność przygód.

W tym to składzie Systematycznym ukazuje się naprzód mylność wiary Achmeta we Fatum, bo każde zdarzenie w poemacie skreślone, nie w ciemnym ogóle jakiejś ślepéj Potęgi, ale w sercu indywiduów, w przewinieniu pojedynczych osób ma swe źródło. Przez cały poemat przewija się jakby myśl jakiegoś Sądu tajemnego, niby femicznego, karzącego każdy szczegół przewinienia przygodnem na pozór, a jednak, wedle sumienności autora, koniecznem zdarzeniem: to wydarciem albo śmiercią ukochanéj osoby, to własnym zgonem, to inną głęboko raniącą serce przygodą, a zawsze w miarę popełnionéj winy. Najtragiczniéj myśl ta objawia się w doli Kirdżalego, który dla zdrady ojca, dla przeniewierstwa matki, musiał stać się katem własnéj duszy, gryść się myślą, że jest odrzutkiem, bez rodu, miana i ojczyzny; a jako się począł ze zbrodniczego małżeństwa, tak się stał zdrajcą, odszczepieńcem i zbójcą, aby szczęście węzła swego z ukochaną kobietą zaraz zatruł w zarodzie i zniszczył na zawsze. Kordaki, uczęstnik owéj zbrodni rodziców, musiał i jéj skutki lękliwie przeczuwać; on je też przepowiedział, nadto pierwszy ich na sobie doświadczył.

Jaśniéj jeszcze, acz mniéj tragicznie, występuje Myśl ta w śmierci Sawy, niosącego Kirdżalemu wieści o miejscu pobycia Eudoxyi i Sary Michaeli. Kirdżali całém życiem przywiązan do chęci odgadnienia téj tajemnicy, — a w chwili, kiedy już — już się miał o wszystkiem dowiedzieć, własna zbrodnia jego temu na przeszkodzie staje i dowiaduje się tylko, że — mógł się dowiedzieć.

Jak z jednéj strony Achmet grzeszy wiarą w bezwzględny ogół i wynikającem ztąd wykluczeniem wszelakiéj indywidualności, tak przeciwnie Eudoxya, obyczajem kobiet, zbyt drobiazgowo uchwyca Myśl, która z natury swéj większy ogół obejmować powinna.

Nie z prostéj to przygody urosła wieść o przepowiedni Iwoniego, w dziwnem, niepojętem Przeczuciu, które często całe ludy ogarnia, za zasłoną pomroku, otaczającego zawsze Ducha historyi, w porze tajemnéj Pracy przedzierżgania się z jednéj Epoki w drugą, szukać trzeba jéj źródła. *Vox populi, vox Dei.* Ale ją też w całéj ogólności jéj sensu pojmować trzeba, a nie przyczepiać do jednéj osoby, którą z niepoliczonéj liczby własne uwidzenie wybrało. W tem to jest błąd, w tem Wina Eudoxyi, wina ukarana śmiercią najdroższéj po ojczyznie istoty, śmiercią własnego syna. Ukarana nadto bolesnem, acz mylnem, mniemaniem, że mu z jéj winy zadaną została, bo przez tego właśnie, którego ona na zbawcę ojczyzny wybrała.*)

W całym ogromie Ducha Ludzkości, w Postępie Dziejów Świata szukać należy źródła odrodzenia się każdego Narodu. Może i w tym razie przepowiednia Iwoniego nie straci Wartości prawdy. Napomykam to tylko, bez zamiaru rozwodzenia się nad tem. Dla czego? Może to nieśmiałość duszy niechętnie odrywającéj się od poetyczności przeczucia, może też kaprys reflexyi, że zbytnią jest rzeczą rozwodzić się nad tem, co, jak mniema, wszystkim jasne być powinno, może też skutek jeszcze innéj jakiéj reflexyi; ale to zawsze pewna, że Eudoxya była w błędzie, bo w orzeczeniu Myśli, która wieki ma przetrwać, krew lacha nie jest jeszcze krwią Lacką.

(Dokończenie nastąpi.)

---

*) Mylną myśl, jakoby Kirdżali był zabójcą Tudora Eudoxya z sobą bierze do grobu.

O poezyi satyrycznéj w ogólności i w szczególe słów kilka o satyrze narodowéj.

(Ciąg dalszy.)

Satyra w Polsce od pierwszych chwil jéj ukazania się aż do ostatniego jéj wykształcenia się pod Stanisławem Augustem, tak była ściśle połączoną z politycznym bytem, z żywotnim duchem całego narodu, tak jest widocznem tętnem, z którego wewnętrzny stan państwa, jego słabości i choroby wymiarkować potrafim; jak w żadnym innym narodzie europejskim. Śmiało rzec możemy, iżeśmy z nowszych ludów satyrę prawie najdoskonaléj wykształcili; bośmy też w nas samych znaleźli pobudkę do tego, bo naród sam bujną niejako dla niéj uprawiał niwę i pchnął ją tym właściwym kierunkiem, w jakim się u nas rozwijała, jakiego gdzie indziéj pewnie nie znajdziem. We Francyi na przykład satyra, choć się także dość rychło ukazała i bujnie wzrosła, nie obejmowała jednakże ogółu życia narodowego: nie może nam służyć za skazówkę siły lub słabości całego państwa, jest tylko obrazem pojedyńczych wykroczeń, pojedyńcze zaczepia stany i z pewnością tak głębokich w sercu i czuciu narodowem, jak polska satyra, niema źródeł. Rabelais pierwszy wyraźny satyryk w swoim *Pentagruel et Gargantua,* pod maską humorystyczno-mistycznéj buffonady poczęści z stanowiska luteranizmu siekł wyższe i niższe duchowieństwo, osobliwie zaś mnichów z tak trafną ironią, z tak bystrym dowcipem, iż w tym rodzaju lekkiego oraz boleśnego przedrwiwania prócz Woltera nikt mu pewnie z Francuzów nie zrównał. Czemu swą satyrę w tak fantastyczną oblekł formę, to tutaj do nas nie należy. Satyra Reniego, żyjącego za czasów Henryka IVgo, prawie tylko chudych literatów i zepsutą dworszczyznę na cel wzięła, malując przewrotne i zepsutne życie dworaków. Boileau wreszcie, ten szczyt satyryków francuzkich, powiększéj części czysto literacko-krytyczną miał dążność; był to niejako stróż i obrońca francuzkiego klassycyzmu, odpychał też i niszczył wszelkie inne kierunki, które klassycznéj poezyi Kornelów, Racinów przeciwnemi były. Niemcy także już bardzo dawno satyryczną znali poezyą, lecz ponieważ ona nie zupełnie się zgadza z ich duchem i charakterem, mniéj ją jeszcze wykształcili, jak inne narody, przeto też satyra u nich tak ważnego nie zajmuje stanowiska. Brandta Narragonia średniowiecznych jeszcze sięgająca czasów, raczéj humorystycznym niż satyrycznym jest płodem. Tomasz Murrner jedynie tylko religijną uchwycił stronę, powstając na rozwiozłość i bezprawia duchowieństwa, zacięcie przytem walcząc przeciw Lutrowi i jego wyznaniu w swym poemacie: Von dem großen lutherischen Narren. W nowszych nakoniec czasach zaczepił mieszczan w fałszywéj swéj dążności naśladowania i małpowania wyższych stanów.

W narodzie polskim satyra wzrastając wraz zepsuciem obyczajowym i socyalnym, przez rosnącą potęgę i przewagę magnatów, nie tak pojedyńczych stanów usterki karciła, jak raczéj zaślepienie całego narodu, zaślepienie szlachty, która w Polsce była narodem. Wylała się nietylko na życie moralne, wewnętrzne; lecz ujęła także zewnętrzne, polityczne stósunki, każdy błąd wytykała, każdy siekła nierozum i za każdym krokiem, który zbliżał do zguby, rozjątrzonym głosem napominała naród do poprawy. Była ona, i to w najdawniejszych nawet czasach, owym natchnionym prorokiem, wzywającym do pokuty, do odstąpienia bałwanów; ale głosu jéj nie słuchano, proroctwom nie uwierzono. Równie jak i w Rzymie z wzmagającem się złem, z zbliżającem się nieszczęściem, rosła jéj moc i gorycz, mnożyło się jéj oburzenie. Z początku w żartobliwéj i przyjacielskiéj stanęła formie, podobniejszą będąc do lekkiego strofowania, niż do bolesnych razów satyrycznego bicza; późniéj szyderczo i bez ogródki, bez litości wszystkie wytykała przewinienia, a wreszcie doszła do najwyższego stopnia goryczy i sarkasmu, gdy naród w ostatniéj był toni. I nie dziw wcale, że u nas satyra tak dotkliwym narodu i rządu cenzorem być mogła, któż bowiem jéj wolność ograniczał, któż u nas od satyryka w tym względzie mógł żądać rachuby? We Francyi i innych krajach w ówczas, nadto śmiałych i prawdomownych, uskarżających się na rząd i wewnętrzną organizacyą, lochy bastylii lub stósy świętego trybunału do milczenia, lub do pokątnych tylko uskarzań zmuszały; ale w Polsce złota wolność panowała, każdy śmiało, co miał na sercu, mógł wypowiedzieć, nikt się kryć nie potrzebował z tem, co mu się dla ojczyzny złem, co dobrem być zdawało, dla tego też satyra wszystkie prawie zgłębiła stósunki, wszędzie wkraść się umiała i wszystko, cokolwiek szkodliwem i zgubnem było, całą chorobliwą i sparaliżowaną teraźniejszość tępić i wypalać mogła.

Polską satyrę na trzy epoki podzielić można. Pierwsza obejmuje polskę kwitnącą jeszcze, wiek Zygmuntów i czasy bezpośrednio po nim następujące; w niéj mamy Reja z Nagłowic, Jana Kochanowskiego, Piotra Zbylitowskiego. Druga mieści w sobie koniec panowania Zygmunta IIIgo, rządy Władysława IVgo, Jana Kazimierza; głównym tu satyrykiem jest Krysztof Opaliński. Trzecia wreszcie zawiera ostatnie losy Polski pod Stanisławem Augustem oraz satyryków: Krasickiego, Naruszewicza, Węgierskiego.

Polska za Zygmuntów była potężną wewnętrznie i zewnętrznie, miała bowiem moralną podstawę i poszanowanie u postronnych. Nowe życie szybko się w niéj rozwijało, gdyż wypoczywając po ciągłych prawie bojach, otworzyła swe wrota wzbudzonéj we Włoszech i Francyi oświacie, zakwitła handlem, przemysłem i naukami, a tym samym ogólnem życiem europejskiem żyć zaczęła. Lecz wśród téj powszechnéj pomyślności rozwijały się także powoli żywioły złego i nieszczęść późniejszych. Przebywanie młodzieży polskiéj w obcych krajach taki prawie na Polskę skutek wywarło, jak na Spartę pobyt Agezylausza w Persyi. *).

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Przegląd pism.

Niezapominajki, noworocznik na r. 1839., wydany przez K. Korwela.

Noworocznik ten równie i w tym roku odznacza się swą typograficzną pięknością i rozmaitością artykułów. Znajdujemy tam kilkanaście poezyj W. Zielińskiego, J. Korsaka, L. Kamińskiego, T. Nowosilskiego, J. B., M. Jachowicza i pięknie tłómaczony dyalog z Fausta Götego znanego zaszczytnie Aug. Bielowskiego. W prozie: Wspomnienia w Gruzyi, Dwie siostry p. Nielubowicza, Potęga śpiewu z Bernarda v. Guseck p. Korwela, Ferdynand Eboli, Maciejowskiego Sceny domowego życia u nas w XV. i XVI. wieku, i Dobosz, powieść Wojcickiego osnuta na piosnce ludu, którą poetycznie jeden z najcelniejszych naszych poetów w numerze 20. pisma naszego oddał. Dajemy tę powieść w skróceniu.

Dobosz.

Powieść z r. 1740.

Było to dnia 4go Października roku pańskiego 1741. Chmury księżyc zaciemniły, gdzie niegdzie gwiazda jaśniała, wiatr poświstywał i wznosił tumany piasku na szerokim gościńcu. Szumiały gęstém liściem rosochate lipy z wierzcholkami wieńcowemi, ocieniając dworzec szlachecki, którego ściany jak zaspa śniegu bielały pomiędzy zielonėm liściem lipy, żółtawéj topoli, wierzby, z których już liść zlatywał, i kilku smereków, zdobiących nie wielki podwórzec. Choć szum wiatru był silny, już od bramy i parkanu wchodzący słyszeli gwar przytłumiony; zlewało się weń kilka głosów, a jeden był wydatniejszy, gruby, przeciągły, mocny: znać pana, co rozkazywał domownikom i czeladzi. Przed samym gankiem stały trzy brodzkie bryki, dwie wypakowane, na trzecią ładowano z pośpiechem sprzęty. W jedném oknie tylko od sieni błyskało słabe światełko, reszta okien zakryta okutemi w żelazo okiennicami. Na twarzy domowników znać trwogę: stali rzędem podstarości, gajowy i karbowy, kilku z czeladzi znosiło na bryki tłomoki i kufry. Aż w trzeciéj izbie od sieni stał pan domu, przy łożu choréj małżonki, lampa jasno oświecała tę sypialnię. — Już jedziesz Jędrusiu? ozwał się głos słaby niewieści z łoża. — Odjeżdżam! zabrzmiały słowa w odpowiedzi pana domu, odjeżdżam zaraz; bo on prędko przybędzie: niech go przyjmą najuprzejmiéj. Wydałem już polecenie gospodyni; ty się, droga Rozalio, nie martw, nie będzie się mścił nad bezbronną niewiastą: polecam cię Bogu i Jego świętéj opiece! Gdybym został, zmazałby pewnie goralską siekierę we krwi mojéj, chociaż Bóg widzi, żem mu nigdy drogi nie zachodził. Tu upadł na kolana, złożył ręce pobożnie, modlił się krótko, lecz szczerze, i z wymówionem Amen powstał, ucałował chorą małżonkę i wyszedł prędkim krokiem do sieni. Gdy mu pokłon oddawał podstarości, gajowy i karbowy: Zrobić wszystko jak kazałem, wyrzekł surowo; siadł do pierwszéj bryki, a gdy woźnica, biczem znak krzyża przed końmi zrobiwszy, dosiadł na kozieł, zaturkotały koła bryk ciężkich i prędko z przed oczu patrzących zniknęły. Trzeba i o sobie pomyśleć, rzekł gajowy z obawą, pan z domu ucieka daleko, my mamy bór blizko, to nogi zapas i w nogi. — Ja nie głupim uciekać, odpowiedział karbowy, bo gorzéj byłoby, jakby złapali na drodze, daliby dopiero kwaśnego bigosu skosztować; sądziliby, że biegniesz sprowadzić towarzyszów na nich, a tak prędko porachowałbyś gruszki na wierzbie. Robta, jak się wam podoba, wyrzekł sędziwy podstarości, ja się z miejsca nie ruszę, nie taki on zawsze okrutny, jak gadają ludzie; nie raz chudzinę zapomógł. A w reszcie, cóż ma się mścić nad siwemi włosami i biedną panią, co w niemocy leży. Uciekajta tchorze, ale nikt nie powie, ze stary Junosza odbiegł ze strachu dobréj pani wtedy, gdy mu pan dozór nad całym domem i panią opiece troskliwéj powierzył. Ledwie tych słów domówił, usłyszano świstanie; nie długo przybiegł chłopak wybladły z przestrachu: »już idą, już idą!« zawołał drżącym i cichym głosem, i pobiegł na poddasze do znajoméj kryjówki; za nim pospieszył bojaźliwy gajowy. Zawyły psy na podwórzu, a z poświstem wiatru dochodziły coraz bliżéj słowa znanéj piosnki rozbójników:

Na wysokoj polonyńci y zrodiły ryżki,
Ta cy pidem pane brate, na wesni w opryszki?
A wrobimo topirczyki ta z samoji stały.
Ta neklyczmo my nikoho, pidemo my samy!
A wrobimo topirczyki ta z samoji midy,
Jak naskoczym u wikomi, ta zaznajem bidy!

Podstarości wyjął z zanadrza szkaplerz z relikwią, pocałował go ze łzami, a żegnając drzącego karbowego, wyrzekł: Jeżeli Bóg da wyjść cało, nie zapomnę Waszeci, żeś mnie nie odstąpił w takiéj godzinie. I zaraz porwał laternię i wyszedł na ganek. Do sześćdziesiąt opryszków stało na podwórzu zbrojnych. Jeden wyższy nad wszystkich głową szedł naprzód i właśnie gdy wstępował na schody podniesionego ganku, spotkał starego Junoszę, który zdjąwszy czapkę, uścisnął mu kolana i przyświecał w pomroku. Ten hołd starca podobał się zbójcy; dał znak swoim, żeby się zatrzymali, a dobywszy pistoletu z za pasa, w którym dwie pary jaśniały, bogato nabijane srebrem, i odwiódłszy kurek, wszedł sam za przyświecającym Junoszą. W sieni brwi zmarszczył, ujrzawszy wysokiego karbowego, i już wziął go na cel, gdy podstarości wyrzekł, że to jest domownik i pomocnik jego. Uśmiechnął się Dobosz, gdy ten mu nizki oddał pokłon i wszedł do pierwszéj komnaty. Stół już był nakryty, zastawiony wódkami, miodem, wędlinami i nabiałem. Gospodyni zostawiona przez pana domu, chyżo się krzątała, a dwie dziewki wkrótce przyniosły ogromne baranie pieczenie, świeżo z rożna zdjęte i upieczoną na węglach kukurydzę. Spojrzał z radością Dobosz na te przysmaki górali — Rusi, a zdziwiony uprzejmością, wesoło rzekł do gospodyni, głaskając pod brodę: Dobre! dobre! na majesz za to! i odjąwszy z kapelusza sznurek, na który nawlekał zdobyte złoto, zsunął trzy sztuki, i darował już daleko spokojniejszéj niewieście. A de wasza pani? Gospodyni wskazała sypialnią, a opryszek, zostawiwszy przy stole swoich towarzyszów, wszedł sam z gospodynią. Pani Karpińska była blizką rozwiązania. Poznał stan cierpiącéj, a uchyliwszy kapelusza: Ne bijte sia pani, my wam żadnéj szkody ne zrobimo, rzekł, i na palcach z cicha idąc, powrócił do swoich. Gospodyni została; wkrótce pani powiła syna. Był to on sławny później śpiewak Franciszek Karpiński. Płacz tego niemowlęcia, zwiastun jego przyjścia, mieszał się z nutą zbójeckiéj pieśni, bo rozochoceni opryszki i podpili, piosnką radość ogłaszali, jakby witając urodzenie wieszcza. Dobosz, uwiadomiony o urodzonym synie, za zdrowie jego spełnił szklankę okowity i prosił matki, aby na pamiątkę dziecię jego imieniem nazwała. Przyrzekła mu wtedy w bo-

*) Zobacz Satyr Jana Kochanowskiego.

jaźni, ale pobożna niewiasta wolała grzech złamanego słowa przyjąć na sumienie, niżeli dziecię ulubione imieniem Alexego nazywać, tém imieniem, które nosił straszny i groźny w okolicy zbójca.

W pobliżu Bolechowa stoi dotąd cerkiew mała, okolona smerekami, a stoi na skale wysokiéj. Obok cerkwi w skromnym domku mieszkał ruski pop sędziwy. Słońce było na zachodzie; właśnie stał przy świętéj cerkwi i poglądał to na miasto, jak na dłoni, to na rzekę, by zwierciadło, co w zakrętach przerzyna zielone łąki i złociste pola. I tak stał w zadumie, że nie usłyszał nawet, jak z sąsiedniego lasu sporym krokiem zbliżył się doń opryszek. Dopiero gdy uczuł dłoń żylastą, wspartą na swojém ramieniu, odwrócił głowę, i po stroju i obliczu poznał groźnego pustaka. Dobosz (tak mówił po rusku) przykazał, ażebyście wieczerzą jutro po zachodzie na trzydziestu pustaków mieli. A wymówiwszy te słowa, spojrzał raz jeno na miasto i prędko znikł w lesie. Niedaleko od téj cerkwi bielił się dwór możnego szlachcica, którego po herbie Rawiczem zwano. Śmiały i odważny, już nie raz stawił opór zuchwalemu Doboszowi. Pop opowiedział z przestrachem, jakie dziś poselstwo odebrał od Dobosza, i że ma mieć na jutro wieczerzą gotową na trzydziestu pustaków. To dobrze, to dobrze! jakem szlachcic, zawołał uradowany Rawicz, a pop z podziwem nań poglądał. Miéj wszystko gotowo jak kazali, i do ucha mu szepnął, przyjdę tam z mojmi ludźmi, dobiorę śmiałych towarzyszów, i da Bóg, że każę tego łotra przed oknami mojego dworu powiesić. Niech patrzy na mój herb rodzinny i pamięta, że z niedźwiedzich pazurów nie tak łatwo się wymknąć. No, verbum nobile, jakem szlachcic będzie dyndał. I pełen radości, uspokoiwszy przybyłego gościa, starym miodem częstował, sam spełnił kilka puharów, i wysławszy tajemnie do najbliższéj komendy po pięćdziesiąt towarzyszów, marzył o zwycięztwie nad opryszkami i widział we śnie związanego Dobosza. Zaledwie świtać zaczęło, pięćdziesięciu towarzyszów przebranych i Rawicz z całą swoją czeladzią i domownikami osadzili skrycie dom popa i cerkiew małą. Nikt ze służących cerkwi nie wiedział o tém; żaden odgłos, ani szczęk broni nie zdradził ukrytych. Rawicz zostawił w domu żonę i troje małych dzieci; uzbroił sześciu pachołków doświadczonéj wiary pod dowództwem Ruszczyca, swego pokrewnego; kazał zamknąć i obwarować dwór cały, a gdyby ujrzeli opryszków, gęsto sypać ogień, który miał służyć za hasło dla niego, żeby przybywał swoim na pomoc. Dwór ten, położony na dolinie i widziany z cerkwi, był oddalony jeno o pół mili. Przeszło południe. Pop kazał wieczerzą na trzydziestu pustaków przyrządzać; wychodził często niespokojny, czy nie spotka którego, ale daremnie wypatrywał. Uderzyła godzina wyznaczona; słońce już zaszło za góry. Rawicz niecierpliwy, wyszedł tajemnie z kryjówki, stanął za świrkiem i w zamyśleniu spojrzał na dolinę. Wśród łąk zielonych bielił się dwór jego; nagle dym mocny zaciemnił cały; zadrżał, przeciera oczy, dach cały w płomieniach, a silny wicher rozdymał pożar. Załamał ręce i wydał krzyk tak przeraźliwy, że czeladź, domownicy i towarzysze wybiegli razem z ukrycia. Ale Rawicz już był daleko, pędził jak jeleń po dolinie. Spojrzeli wszyscy; jeden odgłos: pali się, pali! wykrzyknęli i w ślady Rawicza pognali. — Ciemno było w komnatach dworu Rawicza; młoda małżonka siedziała przy kołysce małéj córeczki uśpionéj i przędła na kołowrotku; najstarszy syn w siódmym roku machał kordelasem myśliwskim siedząc na drewnianym koniu; a młodszy, oparłszy biblią z obrazkami na kolanach matki, przy świetle lampy oglądał z ciekawością wizerunki. Ruszczyc zostawiony z sześcią pachołkami, wszedł na poddasze i wyglądał dymnikiem, ciekawy bitwy z opryszkami, a pachołcy w izbie obok sieni popijali kwartę miodu. Co ci to za djabeł, że jeszcze nic nie słychać od cerkwi, rzekł stary Tadeusz, taże i doba po temu, jeśli prawdę ludzie gadali. Dyć poczekajma trocha, usłyszymy nie długo grajków, aż się okna zatrzęsą. Ruszczyc w gęstwinie ujrzawszy kilku ludzi, zwrócił na nich całą uwagę, a przecież gdyby był spojrzał w ogród, poznałby Dobosza, jak z gromadą swoją z cicha się skrada, trzymając w ręku gorejącą głownię. I przystąpił blizko do dworu, podsadzili go na barkach; silną ręką zerwał kilka gontów, rozdmuchał głownię i rzucił na nią pęk słomy. W mgnieniu oka suche smolne gonty zajął silny płomień, a Ruszczyc jeszcze wzrok trzymał na dostrzeżonych opryszkach w zaroślach. Nagle dym poczuł, obraca się i widzi większą połowę dachu w płomieniach; zbiega na dół, a krzycząc z gardła: gore! gore! wpadł do izby pachołków, a potém z nimi do komnaty pani Rawicz. Wystraszona niewiasta porwała córkę z kołyski, Ruszczyc obu synów, i wśród walących się belek wybiegli szczęśliwie do sieni. Roztwarto drzwi główne: jakiż widok nowy! stoi Dobosz z drużyną swoją. Struchleli pachołcy, zbladł pierwszy raz w życiu z przestrachu Ruszczyc, a biedna matka tuląc do siebie dzieci, upadła na kolana i wyciągnęła do zbójcy białe dłonie, prosząc o litość. Pożar niszczył gwałtownie drogie obicia, makaty i bogate sprzęty, a klęcząca niewiasta zapomniała o wszystkiém, zasłaniając własném ciałem drobne dziatki. Widziała śmierć pewną, a mniemała, że kula choć ją zabije, nie urazi dziatwy. W tém świstanie kilkakrotne usłyszano, naprzód zdala, potém coraz bliżéj. Na to hasło opryszki zaczynają się cofać do lasu, a Dobosz ostatni, ze sztuccem dwururnym, gwintowanym, stanąwszy na krańcu boru, patrzył jak ogień, który rozniecił, dwór wspaniały zamieniał w rozwaliny i gruzy. Bez tchu, wybladły, z iskrzącemi oczyma, z pałaszem w ręku, strzelbą na ramieniu, wbiega Rawicz na dziedziniec, za nim pięćdziesięciu towarzyszów, czeladź zbrojna i domownicy. Pan dworu w płomieniach nie biegł gasić pożaru, ale ze łzami ściskał żonę i drobną dziatwę. Jeszcze ta godzina nie nadeszła, w któréj wczora marzył o zwycięztwie i pochwyceniu Dobosza, a już nie miał gdzie marzyć, nie miał swego poddasza, bo mściwe opryszki i całe gumna spalili. Przy płomieniu swego mienia, Rawicz dziękując Bogu za ocalenie żony i dzieci, smutnie powtarzał, pokręcając w zamyśleniu wąsa: »Homo proponit, Deus disponit.« Dobosz tymczasem ze swymi przychodzi do wystraszonego popa, a dotrzymując obietnicy, zajadał smaczno mamalygę i kukurydzę, popijając okowitą, i przepraszał zarazem gospodarza domu, że się spóźnił o dwie jeno godziny.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Doniesienia literackie.

W Lipsku wyszedł, jak nam nasz korespondent donosi, pierwszy tom »Kroniki Niesieckiego korony polskiéj.« Ciekawi jesteśmy owych zapowiedzianych uzupełnień i nieomieszkamy z nich, jak z całego dzieła zdać sprawę czytelnikom naszym.

W Krakowie wyszedł z druku: »Śpiewnik kościelny,« czyli pieśni nabożne z melodiami, w kościele katolickim używane, przez X. M. M. Mioduszewskiego. W najbliższych numerach mówić będziemy o tém dziele.

W Wrocławiu wyszła nakładem braci Szerków: »Wyprawa Generała Dąbrowskiego do W. Polski w roku 1794.« wydana przez E. Raczyńskiego. Cena 5 zł. p.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca 2 Talary półrocznie przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*